Rozmaitości

Dnia 23. czerwca **Nr 25.** *1838 roku.*

ŻÓŁTA RÓŻA.

POWIEŚĆ Z FRANCUZKIEGO
Karola Bernard.

(Ciąg dalszy.)

Gdy na jakiéj ulicy w mieście przez zapadnięcie się podziemnego sklepienia jama się wydrąży, policyja podczas nocy dla przestrzeżenia przechodzących o niebezpieczném miejscu, zawiesza latarnię. Przezorność ta jest pożyteczną; ale zastosowana do niektórych wypadków, jakich społeczeństwo czasem świadkiem bywa, nazwanoby ją złośliwą i urażającą. Jeżeli w rodzinie jakiéj wydarzy się nieszczęście, od którego ostrożność rodzicielska nie zawsze zabezpieczyć zdoła: gdy młoda dziewczyna dopuści się ciężkiego błędu, któremu świat zbyt lekkomyślne miano daje; wtedy zamiast abyśmy mieli ogłaszać zgorszenie publicznie, ukrywamy je jak najstaranniéj. Miasto czarnéj osłony, któréj się wiarołomna westalka godną stała, otaczamy skronie powabnéj grzésznicy białą i kłamliwą ozdobą, którą zwyczaj za znamię niewinności przyswoił; wyprawiamy ją w podróż, rodzina przenosi się w inne strony, a czas, który wszystko zciéra, bierze w niepamięć cały wypadek. Jeżeli poźniéj nawinie się jaki uczciwy, który się ożeni z dziewczyną i, jak naturalnie, zostanie oszukanym: mniejsza oto, mniejsza o dobrą sławę pana małżonka, byle tylko dobra cześć dziewczyny znowu się ustaliła, i przez związek małżeński uświęconą została. Cały świat pochwala taki bieg rzeczy, a najbardziéj świat kobiécy, którego współczucie i pobłażanie wzajemne zawsze arcydzielném w takowych przypadkach się okazuje, ale wtedy tylko, jeżeli o żadne spółzawodnictwo nie chodzi.

Dramond odkrywszy, że panna Celestyna Simart i dama w *domino* z żółtą różą, jest jedną i tą samą osobą, sądził, iż przed nogami swojego przyjaciela ujrzał przepaść różami nakrytą, taką, jakąśmy właśnie nadmienili i którąby połapką małżonków nazwać można. Będąc młodym i ubiegającym się za uciechą i rozrywkami, miał sposobność poznać zupełnie cały świat niewieści, uczęszczający na bale maskowe; wiedział więc z doświadczenia, iż nierozsądkiem byłoby w tém *pandemonium*, w téj wszechnicy zepsucia, szukać anioła niewinności, podobnie jak chcieć znaleźć w bagnach afrykańskich, śród jadowitych roślin, czysty kwiatek alpejski. Obecność Celestyny na balu maskowym w domu opery, zdawała się mu okazywać owe wczesne skażenie obyczajów, które w życiu kobiéty niezatartą plamę pozostawia; zaprzysiągł więc sobie uroczyście wytajemniczyć tę zagadkę, i bez wszelkiego względu światłem prawdy wyświecić przepaść, w którą Tessier, nie znający niebezpieczeństwa, pogrążyć się zamyślił.

Uprzedzone mniemanie troskliwego przyjaciela i dziecinne nieporozumienia od kilku dni między przyszłemi małżonkami panujące, zobojętniły przy stole rozmowę tak dalece, iż gospodarz domu w żywszy ją tok wprowadzić nadaremnie usiłował. Gdy już wstano od stołu, wyszło całe towarzystwo do ogrodu. Celestyna, ująwszy piękną blondynkę pod ramię, pobiegła z nią wzdłuż alei, gdzie obiedwie, oddając się wesołemu humorowi, przez przyzwoitość przy stole skromionemu, wytwarzały tysiącznemi żartami dziwaczne zachowanie się nowego gościa.

W równym czasie poszli z sobą i obadwaj przyjaciele na przechadzkę, gdy tymczasem

gospodarz domu wiódł rozmowę z owym na pół łysym jegomością.

»No, jakże ci się podoba?« zapytał Tessier z niejaką, nie najlepiej ukrytą dumą: będąc w téj chwili zajęty wdziękami swéj narzeczonéj, i zapomniawszy już o jéj błędach. W obecności trzeciéj osoby dzieje się to zwykle, iż kochanek wynosi nade wszystko piękność swojéj kochanki.

»O wyśmienita!« odrzekł Franciszek ozięble, »ale powiedz mi, kto jest ta młoda dama, która u stołu naprzeciw mnie siedziała?«

»Pani Regnauld, kuzyna Celestyny i małżonka tego wysokiego mężczyzny, z którym teść mój rozmawia.«

»Ona zdaje się być jedną duszą z panną Simart i wtajemniczoną we wszystko?«

»Nic nadzwyczajnego. Ona przepędza tu część lata, a Celestyna bawi znowu u niéj całą zimę w Paryżu. Nié ma temu jeszcze sześciu tygodni jak były obiedwie w mieście.«

»Ah!... twarz téj pani okazuje bardzo czułe serce... Rozumiész mię; a małżonek jéj ma taki wyraz twarzy, któryby charakterystycznym nazwać można!«

»Oni żyją bardzo dobrze z sobą.«

»Ba, wszakże to wcale nie przeszkadza.«

»Cóżto nas ma obchodzić? Mówmy raczéj o Celestynie. Więc Celestyna podoba się tobie?«

»Prześliczna! ale...«

»Ale? —«

»Ja ci nie radzę z nią się żenić!«

»Dla czego?« zapytał Tessier niedbale; bo niestały charakter łatwo się jedna ze sprzecznością; jednakże pan oblubieniec uczuł się w téj chwili przez słaby zapał swojego przyjaciela być urażonym.

»Z rozmaitych powodów, któreś sam odkrył przede mną,« odrzekł Franciszek; »nie mówiłżeś przede mną dziś z rana, że jest drażliwą, porywczą, a nawet opryskliwą?«

»Sąto błędy dziecięcia, które łatwo naprawić można, skoro zostanę jéj małżonkiem. Rozważ, że ona zaledwo lat ośmnaście liczy; a potém — w jéj wadach cokolwiek przesadziłem. Jeżeli innego nié masz powodu...«

»Mam.«

»A zatém powiédz, jaki? zaklinam cię, powiedz czém prędzéj; ty mnie zabijasz swoją poważną miną, dręczysz temi przerywanemi, niezrozumiałemi słowami.«

»Jutro dam ci odpowiedź. Tymczasem postaraj się o sposobność, abym mógł mówić z twoją narzeczoną.«

Robert z coraz większém zadziwieniem patrzył na swego przyjaciela. »Żądanie twoje jest bardzo szczególne;« rzekł nakoniec; »z resztą czyń, co się tobie podoba, ja nie będę zazdrosnym. Ale z tém wszystkiém nie mogę ci służyć w téj mierze; wszak sam widziałeś, że Celestyna dąsa się na mnie i słowa do mnie nie mówi.« — Obadwaj milcząc, chodzili z sobą przez czas niejaki.

»Dokądże one poszły?« zapytał nagle Franciszek, szukając nadaremnie wzrokiem po ogrodzie.

»Zapewne do sali bilarowéj.«

»Pójdźmy i my za niemi, aby nas za nieokrzesanych nie poczytały, tém bardziéj, że, ile mnie się zdaje, my dla nich nie bardzo przyjemnemi gośćmi.«

Obaj przyjaciele weszli razem do domu. Idąc przez sień usłyszeli w przyległéj sali łoskot kul na bilarze odbitych, i przekonali się, że Tessier nie omylił się w swojém zdaniu. Gdy otworzyli drzwi, Celestyna, która właśnie partyję wygrała, przyjęła ich z wielką wesołością: »Dobrze, żeście panowie nadeszli; teraz będziemy grali w czwórkę!« zawołała dziewczyna z ową żywością, która wszystkie jéj poruszenia charakteryzowała. »Ja z moją kuzyną, a panowie naszemi przeciwnikami; jednakże nie pozwolę, abyście nam kilka kul naprzód zaliczali, i owszem, walczmy na równe siły.«

»Jestto urządzenie, na które ja przystać nie mogę,« rzekł Franciszek z uśmiéchem; »partyja bilarowa powinna jak kadryl być urządzoną. Przypuśćmy, iżby tu chodziło o taniec, azaliż pani byłabyś tak okrutną, abyś mi miasto podania ręki, tancerzem Roberta być kazała?«

Myśl ta, zobaczenia swego narzeczonego jako kobietę w kontradansie figurującego, podwoiła wesołość Celestyny; zaproponowała więc ciągnąć losy. Slepy bożek zdawał się miéć cokolwiek rozumu, przeznaczywszy jéj przyszłego małżonka za partnera. Zaczęto grać partyję. Dramond grał z ową niedbałością człowieka, który jest pewien swéj wyższości; Tessier zaś wyrachowywał każde trącenie kuli, jak gdyby w tém zwycięztwie

wielką pokładał ważność. Obiedwie kuzynki zajmowały się grą z tą żywą uwagą, jaką zwykle w kobietach uprzywilejowane zabawy mężczyzn obudzają. Szczególnie Celestyna patrzyła na wypadki gry z największą pilnością. Widząc ją, jak to niespokojną, to zniechęconą, raz z tryumfem swego przeciwnika wyzywając, to znowu się z swoim przymierzonym kłócąc, nawet swéj własnéj niezręczności nie przebaczając, bądź się gniewała naśmiawszy się, bądź się śmiała nagniewawszy się; mniemałbyś, iż całe szczęście jéj życia od wygranéj lub przegranéj partyi zależało.

»Dziwną rzeczą byłoby niezawodnie żenić się z tą dziewczyną,« rzekł Franciszek sam do siebie, zajmując się bardziéj grającą, a niżeli grą swoją i chybiając jednę kulę po drugiéj. »Jestto prześliczny diabełek! Dla kochanka skarb nieoceniony, ale dla małżonka — kłopot i utrapienie!«

Sporna gra zbliżała się do końca, a Celestyna ciesząc się już naprzód wygraną, tańczyła z radości. Wypadało jeszcze trzy kul zrobić, a partyja skończona; czerwona stała na krawędzi dziury kątowéj, i roztrzygała zwycięztwo; kolej grania wypadała na pana narzeczonego. Tessier z właściwą sobie przezornością, chyląc się i mierząc jakby do zająca, zabiérał się z wielką ostrożnością do zrobienia kuli. Na nieszczęście w téj saméj chwili młoda dziewczyna, drżąca z niecierpliwości, jakby chcąc przyspieszyć upadek kuli, położyła bielutkie paluszki swoje na krawędzi bilaru. Ta mała, drżąca ręka zmieszała gracza; zagnał swoję kulę do dziury, nie trąciwszy czerwonej, i tak, zgubiwszy się, przegrał całą partyję!

Celestyna skrzyknęła z przestrachu i tupnąwszy nogą o posadzkę, spojrzała na niezgrabnego gracza rozgniewanym wzrokiem. »Wćpan jesteś nieznośnym!« rzekła; »partyję tę byłoby dziecko wygrało. Ale wćpan przegrałeś ją tylko dla tego, ażebyś mię zmartwił.«

»Boże uchowaj! Przegrałem ją dla tego, żem się na panią zapatrzył;« odrzekł Tessier całkiem zmieszany.

»Pocóż się było na mnie patrzyć?... Co do mnie, ja się nigdy nie patrzę na wćpana. Nie, nie! wćpan zrobiłeś to umyślnie. Grając przeciw mnie nie chybiasz żadnéj kuli.«

To rzekłszy rozpieszczone dziécię, cisnęło kij na bilar i rozzłoszczone poszło do okna, gdzie zaczęło po szybach bębnić palcami. Robert zwrócił błagające wejrzenie do pani Regnauld, ale ta młoda dama udała, jakby téj o pojednanie wzywającéj prośby wcale nie zrozumiała, i nic rzekłszy ni słowa usiadła sobie na kanapie, z któréj mogła całą przestrzeń przejrzéć: »Życzyłabym sobie,« rzekła po chwili, »widziéć obu panów z sobą grających, możebym z ich biegłości bilaru cokolwiek skorzystać mogła.«

»Tak, tak! starajmy się zabawić damy!« zawołał Tessier widocznie zmartwiony.

Panna Simart obróciwszy się z pospiechem rzekła: »Mnie pan wcale nie zabawisz,« poczém zaczęła daléj wykonywać swoje muzykalne po szybach ćwiczenie.

Tessier złym humorem swéj narzeczonéj rozjątrzony, zaczął grać z całéj siły. Najśmielsze uderzenia, niesłychane duble i karambole, wszystko wiodło się mu szczęśliwie i do zadziwienia. Pani Regnauld, siedząc na kanapie, uśmiéchała się złośliwie, jak gdyby ciesząc się tajemnie z niezgodności przyszłych małżonków. Dramond z swojéj strony dawał się zwyciężać, grał ze zrzeczeniem się wszelkiéj wygranéj i poglądał ukradkiem na Celestynę, która ciągle jeszcze bębniła sobie palcami galopa z nowéj opery Belliniego. Naraz otworzywszy okno zawołała przeraźliwym głosem na odźwiernego, którego na dziedzińcu postrzegła: »Mikołaju! któż ci kazał uwiązać Solimana? Spuść mi go natychmiast, czy słyszysz? Spuść mi go zaraz mówię tobie!«

Mikołaj mruknął coś sobie pod nosem i pospieszył wykonać wydany rozkaz. Soliman uczuwszy się wolnym, wyleciał jak strzała z budy, przeskoczył dwoma susami dziedziniec, i przesadziwszy przez otwarte okno, wpadł jak piorun do bilarowéj sali.

»Biédne psisko!« rzekła Celestyna, głaszcząc czoło brytana, który wywdzięczając się jéj łaszeniem, wspinał się w górę łapami. »Biédne, udręczone psisko! Chcą koniecznie, abyś był niewolnikiem; ale bądź spokojnym, ja na to nie zezwolę.« To mówiąc, spojrzała swawolna dziewczyna wyzywającym wzrokiem na swego narzeczonego, który na widok pana Solimana, swego zaciętego nieprzyjaciela, zchmurzył bardzo czoło. Ilekroć stan partyi

zniewalał go do przejścia koło złośliwego zwierzęcia, zawsze spoglądnął piérwéj na brytana, a potém po swoich łytkach, z obawą, do któréj miał dostateczny powód, widząc dwa rzędy ogromnych kłów, wyszczérzonych w paszczy warczacéj na niego bestyi. Widok ten bawił bardzo Celestynę, która patrząc na to, uśmiéchała się ironicznie do swojéj kuzyny. Nareszcie nie mogła się oprzéć swojéj pustocie i wzięła ją ochota wyprawić jednę z owych swawolnych psot, które się tylko przez jéj wiek i charakter uniewinnić dają. W téj saméj chwili, kiedy Robert, na bilarze schylony, mierząc do kuli swojego przeciwnika, piłował kijem bilarowym o wielki swój palec u lewéj ręki, co czynią zwykle gracze mający chwiejący się charakter; na dany znak od swojéj pani wskoczył Soliman na bilar i schwycił kulę, do której mierzono. Tessier tém rozzłoszczony, ale jeszcze się wstrzymujący, chciał ją wydobyć z pomiędzy białych, ostrych psa zębów; pies puścił wprawdzie z pyska kulę, ale jedynie dla tego, by schwycić zębami rękę swojego nieprzyjaciela, który zanim ją cofnął, już był ukąszonym aż do kości. Tą razą ból miał moc większą, niż cierpliwość. Robert pochwyciwszy kij bilarowy, jakby maczugę, za cieńszy koniec, zaczął nim obkładać boki brytana, który będąc bardziéj zjadliwym niż odważnym, zwinąwszy się w kłębek, tulił się do swojéj pani.

»Tylko raz jeszcze odważ się pan uderzyć go!« skrzyknęła Celestyna z rozognionem licem i gniewnym wzrokiem.

Godność powagi małżonka, któréj Tessier nie za długo już miał dostąpić, zdawała się mu w téj chwili bardzo być potrzebną. »Jeżeli się teraz słabym okażę,« pomyślił sobie, »zepsuję wszystko na przyszłość; tu się należy okazać w swojéj powadze.« Przedstawiając Celestynie skrwawioną rękę, nie ustawał drugą grzmocić Solimana. Pies zaczął wyć żałośliwie i schronił się pod bilar.

»Wćpan jesteś okrutnik, dręczyciel szkaradny!« zawoła młoda dziewczyna i w zapomnieniu — podnosi rączkę na oblubieńca.

»Celestyno!« zawoła wraz pani Regnauld i zrywa się z kanapy. Przemocą wstrzymała rozgniewaną, pieszczotami zepsutą dziewczynę od zamachu, który już wykonać chciała.

Wrażenie, które przymus ten na niéj sprawił, było tak silne, iż jéj łzy z ócz pociekły. Soliman, widząc swoję panią płaczącą, ośmielił się wypaść z wściekłością z pod bilaru; ale téjże saméj chwili gdy wskoczył na piérś Roberta, porwał go Franciszek z taką siłą za kark i grzbiet w obie ręce, że nim nito szczenięciem cisnął w podwórze, spieszno przytrzasnąwszy okno.

Podczas gdy się to wszystko w mgnieniu oka stało, panna Simart, którą kuzyna nadaremnie uspokoić usiłowała, przybliżyła się ku drzwiom i otworzyła je na oścież. Odchodząc raz jeszcze obróciła się i ukazała swoje różane, łzami zalane lice: »Wiedź wćpan o tém: iż go nienawidzę!« rzekła do swego narzeczonego; »wszystkie wćpana postępki dążą tylko do tego, ażebyś się mnie nie podobał, jakoż lepiéj się w tém wćpanu wiedzie, a niżeli sobie życzysz. Bić tak okrutnie biédnego Solimana! Wolałabym, ażeby mnie wybito. Ja brzydzę się wćpanem, słyszysz to wćpan? i nigdy mu nie oddam mojéj ręki.«

Te słowa wymówiła Celestyna z wielką dobitnością, i wychodząc z swą kuzyną ze sali, tak mocno za sobą drzwi zatrzasła, jak to zwykle czynią dzieci w gniewie będące.

Franciszek spojrzawszy na przyjaciela, który zwiesiwszy w dół głowę i ręce, jak słup nieruchomy, stał o bilar oparty, z podbródkiem w krawat wsuniętym, zaczął się śmiać na całe gardło.

»Jestto rzecz bardzo śmieszna, zaiste bardzo śmieszna!« rzekł Tessier cierpkiem głosem; »niezmiernie żartobliwa, upewniam cię!«

»Przebacz mi, ale ty mówisz to — z tak żałosną minę, że...«

»Bo nie widzę przyczyny, aby z tego bardzo cieszyć się można. Jakże, czyliż ci nie mówiłem? Oto widziałeś próbkę uprzejmego jéj charakteru. Cóż sądzisz o niéj?«

»Sąto błędy dziecięcia, które łatwo naprawić można, skoro zostaniesz jéj małżonkiem,« odrzekł Dramond, powtarzając ironicznie te same słowa, z któremi Robert nie dawno dał się słyszeć.

Jéj małżonkiem? nigdy na świecie!« zawołał Tessier z oburzeniem; »słyszałeś co mi powiedziała; ale ja oszczędzę jéj trudu odmówienia mi swojéj ręki; jato, ja z nią się nie ożenię, ja zerwę wszelkie stosunki. O! ja pokażę jéj, że mam także stały charakter. Będę zaraz mówił z jéj ojcem i natychmiast odjadę. W Paryżu znajdę dwadzieścia tysięcy dziewcząt, chcących pójść za mąż, które równie są piękne, a daleko przyjemniejsze, niżeli ten złośliwy szatan. Czy widziałeś? wszakże ona rękę na mnie podniosła!«

»Widziałem, podniosła na ciebie rękę!« odrzekł Franciszek, wysunąwszy spodnią wargę i przechyliwszy z powagą w tył swą głowę.«

»I w saméj rzeczy, była chwila, żem już myślał, iż...«

»Ja toż samo myślałem, iż...; obawiałem się, aby się z tobą podobnie nie obeszła, jak owa — na maskowym balu z Marvillem.«

»Diabeł! powiadam ci, istny z niéj diabeł!« rzekł odczarowany kochanek, bijąc pięścią o bilar.

»Prawda, że diabeł, ale piękny diabeł!«

Ile Robert był rozważnym i wahającym się w zamiarach, tyle znowu przytomności umysłu i stanowczego charakteru posiadał jego przyjaciel. W kilku chwilach już miał plan gotowy.

»Ze wszystkich jéj postępków okazuje się, że jest płochą i bezwątpienia złośliwą,« rzekł sam do siebie, »a tego dwojga razem, za wiele. Tessier nie powinien zawiérać tak nierozsądnych związków; a ponieważ zerwać mu je wypada, lepsza więc, gdy powodem do tego będzie ta sprzeczka, a niżeli żółta róża, przezcoby tylko przyszło do wyjaśnienia, któreby dziewczynie zaszkodzić mogło. Dramond nie zdając sobie sprawy z mimowolnego udziału, który téj chwili obudziła w nim Celestyna, zagadnął swego przyjaciela: »No, jakże, czy się namyśliłeś odjechać nieodzownie?« rzekł do niego.

»Namyśliłem, odjadę!« odrzekł Robert wygłaszając każdą głoskę tego poważnego słowa dobitnie.

»W takim razie pójdźmy do pana Simarta.«

»Tak, pójdźmy — jakkolwiek ten krok nie jest najprzyjemniejszym.«

»Czy znowu się ociągasz?«

»Nie, bynajmniéj; ale pan Simart jest tak zacnym mężem, zamęzcie to sprawiało mu tak wiele ukontentowania, iż wystąpić przed nim w piérwszym zapale i w brew mu powiedziéć: Ja nie chcę wćpana córki; — nie, nie! to nie uchodzi. Gdyby można wynaleźć jaki środek uniknienia téj sceny — gdyby można zerwać ten związek pisemnie, zamiast stawienia się oko w oko; bo przyznam się, że...«

»Że cię znowu twoja choroba wahania się napada; zresztą nic łatwiejszego jak uniknąć piérwszego kroku; już ja na to wynajdę sposób.«

»Jakiżto sposób?«

Franciszek przetarł sobie czoło zwyczajem ludzi myślących nad jaką rzeczą; jednakże zastanowienie się jego nie długo trwało, bo dla niego nie było nigdy trudne wynalezienie środka w potrzebie.

»Już mam,« rzekł, »idzie tu o to — na cośmy się obadwaj zgodzili — by to miejsce, mając wzgląd na delikatność pana Simarta, bez wszelkiego oświadczenia opuścić, a potém listem zerwać wszelki związek; dobrze. Słuchajże: Twój wuj Mariolier jest tknięty paraliżem, a ty przymuszony jesteś natychmiast powracać do Paryża.«

»Mój wuj Mariolier — tknięty paraliżem!« zawoła Tessier, mieniąc się na twarzy.

»Ach nie! on jest tak zdrów, jak i my obadwaj,« rzekł Dramond z uśmiéchem. »Nie poznajeszże, żem ja mu umrzéć kazał dla tego tylko, by twój wyjazd przyspieszyć?«

»Rozumiém — aleś mi napędził strachu —«

»Strachu spadkobiercy; znamy się na tém.«

Obadwaj młodzi ludzi poszli razem na górę do pokoju, w którym pan Simart się znajdował. Zacny ten mąż, dowiedziwszy się o nadspodzianym przypadku, wzywającym do Paryża jego przyszłego zięcia, zmieszany, poskrobał się za ucho: »Zobaczymy! zobaczymy!« rzekł w sposobie pojednawczym; »o czémże tu mowa? Pani Regnauld odpowiedziała mi o téj małéj sprzeczce wćpana z Celestyną; czy jeszcze o tém nie zapomniałeś?... Ta choroba wuja wćpana wydaje się mi być bardzo nagłą i niespodzianą.«

»Jak wszelkie paraliże,« odrzekł Franciszek poważnie, głosem znawcy.

»Ot, zapomniejmy lepiéj o wszystkiém!« zaczął stary negocyjant mówić daléj; »znany wćpanu charakter mojéj córki; ma ona najlepsze serce w świecie, dla tego należy mieć wzgląd na te, nic nie znaczące psoty i zadzierki.«

»Nic nie znaczące!« ozwał się Tessier, i chciał już wylać całą gorycz, ale przyjaciel mrugnął na niego, aby milczał.

»Widzisz panie Dramondzie,« rzekł dobroduszny Simart, »oni oboje są jeszcze dziećmi. Celestyna jest trochę rozpieszczoną, przyznaję; ale i przyjaciel wćpana jest czasem zapaleńcem. W saméj rzeczy kochają się oboje jak sinogarlice i sprzeczają się dzień cały — o nic, o lada fraszkę. A zatém przestań się gniewać panie Tessier; Celestyna jest w salonie; pójdź wćpan i pogódźcie się, zrobimy mir na wieczne czasy.«

Franciszek widząc, iż przyjaciel w swém przedsięwzięciu już się zachwiał i zabiérał się iść z panem Simartem, uznał tedy za rzecz potrzebną wdać się w tę sprawę.

»Mogę pana mego zapewnić,« rzekł do ojca Celestyny, »że Robert wcale nie myśli o tém, co się stało; jest on téj chwili zajęty nieszczęściem, które dotknęło jego wuja.«

»Czy tak!... więc to nie jest zmyśleniem?« zapytał pan Simart.

»Zmyśleniem!« powtórzył Dramond niby urażony tém powątpiewaniem. »Jato przywiozłem tę smutną wiadomość Robertowi. Nie chciałem mu udzielić jéj przed stołem, bo dyliżans z Paryża przejeżdża tędy dopiéro w wieczór, a zatém jeszcze ma dosyć czasu do wyjazdu.«

»Ależ ja znam pana Marioliera!« odrzekł Simart. »Wysoki, chudy mężczyzna, jeszcze wyższy i cieńszy niż mój przyjaciel Regnauld! Jakimże sposobem u kata człowiek z takim temperamentem może być tknięty paraliżem? Jestto dla mnie przestroga!«

»Pozwól wćpan,« zabrał Franciszek głos z poufałym uśmiéchem, »w tym zawodzie jestem cokolwiek biegłym, bom się uczył sztuki lekarskiéj. Jestto mylném mniemaniem — wprawdzie powszechnie przyjętém — a jednak mylném, jakoby osoby suchéj i nerwistéj konstytucyi ciała, mniéj podlegały apoplexyi niż silni i krwiści ludzie: mniéj więcéj krótka szyja, mniéj więcéj czerwona twarz, nie należy do rzeczy, a ja mógłbym przytoczyć wćpanu przypadki — lecz teraz nie masz o tém mowy; idzie tu o dobrego i zacnego pana

Mariolicra, który może téj chwili w rękach łakomych najemników wyzionie ducha! Rozważ wćpan, mości Simart jako człowiek rozsądny, iż Tessier jako siostrzeniec, jest jego spadkobiercą,« tak mówił młody mężczyzna, nachyliwszy się do ucha pana Simarta, niby mając wzgląd na zbyteczną tkliwość swego przyjaciela; »racz zważyć, iż się znajdują chciwi ludzie, którzyby z téj chwili korzystać mogli.«

»O, co to, wielka prawda! jedź wćpan, mości Tessier, jedź natychmiast!« zawołał stary kupiec, wyobrażając sobie niebezpieczeństwo utracenia puścizny, na które Tessier był narażony. »Jedź wćpan natychmiast; nie masz ani chwili do stracenia.«

Robert stał nieporuszony i zamiast odpowiedzi pozierał we wszystkie kąty po pokoju. Fraściszek tym symptomatem przestraszony, równie jak wewnątrz z powodu powolności oszukanego kupna uradowany, wziął swojego przyjaciela pod rękę i rzekł do gospodarza: »Wkrótce z naszéj wycieczki powrócimy, bo ja zawsze uważam siebie, jak gdybym był razem z moim przyjacielem zaproszony.«

Pan Simart zaczął się namyślać i zastanowił się na chwilę: »Zostań się wćpan raczéj z nami, panie Dramond,« rzekł szczérym i dobrodusznym głosem; »wćpana nie wzywa żaden wypadek do Paryża. Dla przekonania mię, że niespodziany wyjazd ten nie jest tajnym zamiarem, zostaniesz wćpan z nami. A że będziesz drużbą pana Tessier, a za tém nie będzie w tém żadnéj nieprzyzwoitości; będziemy wćpana uważali jako zakładnika aż do pana Tessiera powrotu; zezwalaszże wćpan na to?«

»Zezwalam!« odrzekł Fraściszek z żywością, która się prawie radością być zdawała, wstrząsnąwszy mocno ręką, którą z uprzejmością podał mu były kupiec.

»Przede wszystkiém, Tessier nie trać wćpan czasu,« rzekł Simart dla zabezpieczenia sobie zawartéj ugody; ja nie będę spokojnym, pokąd się nie dowiém, że stanąłeś na przeznaczoném miejscu. Każę zaprządź i zawieźć go aż na gościniec.«

»Otóż widzisz! cała sprawa jest ułatwiona,« rzekł Fraściszek do swego przyjaciela, gdy byli sami.

»Wyśmienicie!« odrzekł tenże, »więc ja mam odjechać, a ty się zostaniesz! takiéj nie było między nami umowy.«

»Jeżeli ci to sprawia najmniejszą nieprzyjemność, pojadę z tobą,« rzekł Fraściszek, »przystałem na wezwanie pana Simarta jedynie tylko dla tego, aby tobie wyświadczyć przysługę. Sądziłem, iż się nie będziesz gniewał, gdy zostawisz tutaj pełnomocnika, uwalniającego cię od przykrości zrywania związku osobiście.«

»Prawda, słusznie mówisz,« rzekł Robert przestraszony myślą osobistéj rozprawy; »zostań więc, i staraj się tę rzecz jak najlepiéj załatwić.«

»Dajesz mi zupełne pełnomocnictwo?«

»Bez ograniczenia.«

Panna Simart skryła się do salonu, gdzie tak wielki hałas robiła na fortepianie, iż w całém pomieszkaniu rozlegało się echo; ale usłyszawszy o wyjeździe swego narzeczonego, zamknęła się umyślnie w swoim pokoju, aby uniknąć pożegnania. Robert więc nie widziawszy się z nią, odjechać był przymuszony. Przyjaciel jego towarzyszył mu aż do stacyi, gdzie miał dyliżans nadjechać, i dotąd go nie opuścił, aż dopokąd nie wsiadł do powozu.

Gdy Fraściszek Dramond po téj wyprawie wracał do domu, w którym mieszkała Celestyna, powstało w jego sercu jakieś radosne uczucie, które z początku zdziwiło go, ale które sobie wkrótce wytłumaczył jako wewnętrzne zadowolenie z wyświadczonej przysługi i wypełnionéj powinności. »Nie straciłem dnia tego nadaremnie,« rzekł sam do siebie z uśmiéchem, któregoby się był sam ludzkolubny Tytus nie powstydził; »sądzę, iż najbieglejszy dyplomat nie byłby się zręczniéj wywinął z téj trudności. Z jednéj strony przeszkodzę przyjacielowi zrobić krok nierozsądny, któryby pożniéj naprawić było niepodobna; z drugiéj strony ocalę honor poważanéj rodziny i młodego dziewczęcia, którego piękność przynajmniéj tego względu jest godna.«

Rzadkiém jest poświęcenie się, ale zupełna bezinteresowność, jeszcze rzadszą. Wyobraźność człowieka, który szlachetny czyn wypełnił, w skutek wrażenia, jakie czyn ten na niego sprawia, stosuje się do nagrody, na którą podług swego zdania zasłużył. Fraściszek poddał się bez oporu téj ustawie ludzkiego serca.

»Zasłużyłem sobie za to rozweselić się przez dni kilka,« tak mówił daléj sam do siebie; »dla czegoż nie miałbym zabawić tu przez cały tydzień. W miesiącu maju Paryż jest tak nieznośnym, a na wsi tak przyjemnie! A potém: od chwili, w któréj związek z Robertem jest zerwany, nie uważam już Celestyny za narzeczoną mojego przyjaciela; odtąd widzę w niéj tylko zwodniczą damę w czarném *domino*, za którą tak długo nadaremnie biegałem. Dla czegożbym miał porzucać przygodę, która się tak romantycznie zaczęła?«

Takiémto subtelném zdaniem uspokoiwszy młody mężczyzna swoje sumienie, wszedł znowu do pokoju pana Simarta, z radosném spojrzeniem i uśmiéchającą się twarzą. Postanowiwszy podobać się każdemu, rozpoczął natychmiast swoje prace: z gospodarzem rozmawiał o rolnictwie i gwardyi narodowéj; z panem Regnauld, który w pewnym rodzaju był adwokatem nie mającym klientów, o processach; z piękną blondynką o modach, teatrze i nowych romansach; ze starą ciotką o kazaniach i skutecznych lekarstwach; nareszcie z Celestyną, zdawającą się znosić z wielkim stoicyzmem niebytność swego kochanka, zakończył zabawę wieczorną odśpiéwaniem piosnek narodowych.

Z ciekawością równie głęboką jak i tajemną uważał Franciszek przez dni kilka tę nadzwyczajną dziewczynę, z którą miał się żenić jego przyjaciel, i któréj ujmująca piękność dla niego samego miała coś zwodniczego, jakkolwiek nie chciał przed sobą do tego się przyznawać. Z troskliwéj téj uwagi wynikněły wkrótce te skutki, iż rozdrażnił swe serce i obudził w niém nieznośną wątpliwość. Kto tajemnych włókien organizacyi niewieściéj w ich najcieńszych rozgałęzieniach nie rozbiérał, temu charakter Celestyny wydawał się być w saméj rzeczy nieodgadniona zagadką. To swobodna jak dziecię, to zamyślona jak dojrzała kobiéta; zrana swawolna, w wieczór posępna; raz gwałtowna aż do szaleństwa, drugi raz rozważna aż do przesady; słowem, bardziéj ruchoma niż wodna fala, która śród burzy nabrzmiewa, ale za chwilę spokojna i odbijająca pogodne niebo — Celestyna była doskonałym wzorem owych gibkich, dwustronnych istot, na które Filistyn z niedowierzaniem, artysta zaś z upodobaniem pogląda. Pomimo doświadczenia i bystrości swego dowcipu nie wiedział Fraúciszek sam z początku za co ją miał poczytać.

»Anioł lub szatan w ludzkiém ciele!« rzekł do siebie; »ale cóż z obudwóch?«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 31. i obejmuje przedmioty następujące: 1) Jaki najlepszy gnój na łąki? 2) O maku. 3) Rzepak ozimy na piaskowym gruncie. 4) Ul polski wydoskonalony (dokoń.). 5) O fabrykacyi cukru z buraków, przez dr. Reichenbacha. 6) Blichowanie płótna w Szlązku. 7) Kapelusze słomiane prać. 8) O największéj fabryce cukru. 9) Gospodarstwo zagraniczne z podróży po różnych krajach.

Z Krakowa. *Towarzystwo naukowe krakowskie* z uniwersytetem Jagiellońskim połączone, w zamiarze uświetnienia rocznicy założenia akademii krakowskiéj, odbyło dnia 11. czerwca r. b. posiedzenie publiczne, które Antoni Malakiewicz, prezes towarzystwa, stosowną przemową zagaił. Zakończył zaś toż posiedzenie Felix Słotwiński, fil. i o. p. d. profesor prawa rzymskiego i kościelnego, czytaniem rozprawy: »O jurysdykcyi karnéj zewnętrznéj wedle zasad prawa publicznego z uwagą na ustawy krajowe i państw ościennych.« (G.K.)

Z Warszawy. Nakładem A. E. Gligsberga, księg. warsz., wyszły w r. b. szósty i siódmy tom: *Dzieł Jana Sniadeckiego*, wydania M. Balińskiego. Obejmują one jeografiją, czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi. Mamy już więc kompletne dzieła Jana Śniadeckiego, wydane nader ozdobnie z tablicami wybornie rytowanemi. Żywot znakomitego autora, przez M. Balińskiego, w 2ch częściach skreślony, stanowić będzie tom pierwszy, czyli wstęp do tych dzieł, do którego ma być dodany portret Śniadeckiego na stali ryty. (K.W.)

Posąg Szyllera. Na dawnym zamkowym placu w Sztutgardzie wystawiono od kilku dni drewniany model, zupełnie tego samego kształtu jak i pomnik, który ma być dla Szyllera wzniesionym, już dla tego, aby się przekonać o rozmiarze i stosunku wszystkich części tegoż, już aby wynaleźć i oznaczyć najdogodniejszy punkt w miejscu, na którém pomnik ma być wystawionym. Płaskorzeźby na podstawę są już ulane, a posąg ukończonym będzie w przeciągu tego lata, a następującej wiosny 1839 r. na dniu 9. maja pod uroczystość pamiątce Szyllera poświęconej, odsłoniętym zostanie.

Testament Thorwaldsena. Nie dawno otrzymano w Kopenhadze wierzytelny odpis testamentu Thorwaldsena z podpisem siedmiu świadków. Znakomity ten artysta przeznaczył swój zbiór kosztowny, złożony z arcydzieł rzeźby, płaskorzeźb, obrazów, rysunków, rycin, medalów, starożytnych naczyń, książek i innych przedmiotów, rodzinnemu miastu Kopenhadze, z warunkiem, aby wystawiono dom osobny na to muzeum, mające nosić imię założyciela. Przeznaczył na utrzymanie tego muzeum wszystkie procenta od swego majątku, w przypadku, jeżeli się nie znajdą spadkobiercy w linii prostéj W Danii, na wzniesienie stosownego gmachu, zbiérają składki, które już 32.220 tal. wynoszą,

Nowa machina. Mechanik Grimpe w Paryżu wynalazł nie dawno machinę, która jednem cięciem całą osadę strzelby z jednéj sztuki drzewa wykrawa. Machinę tę, wraz z tajemnicą artysty, nabył rząd francuzki za wysoką cenę. Ale tenże sam artysta doświadczał ubecnie zastosować ją do sporządzenia mebli drewnianych i pomyślne osiągnął skutki. Pewne towarzystwo pod opieką banku w Belgii właśnie w téj mierze zawiązane, nabyło tego wynalazku za 600.000 frank., z prawem użytkowania z niego i wkrótce założyć ma wielką fabrykę mebli.

Przygoda w omnibusie. Żadne publiczne miejsce nie dostarcza dla dostrzegacza obyczajów bogatszych plonów, i nigdzie się tyle jak w omnibusie śmiesznych nie wydarza wypadków. Niechaj czytelnik sam osądzi z próby następującej: Wystawmy sobie słotne, brzydkie, szkaradne powietrze, deszcz lejący strumieniami z dachów, rynien i z nieba; rynsztoki wezbrane jak ulice szerokie, chodniki zalane wodą, powódź w górze, powódź w dole; słowem, wystawmy sobie powietrze jak przy potopie świata i jakie jest na początku wiosny w Paryżu, gdzie przez ośm miesięcy co roku takie panują słoty, iż żadnego dnia bez deszczochronu wyjść niepodobna; dla tego też Anglicy, by uniknąć mgły, wilgotnych wyziewów Tamizy, a nacieszyć się błogiemi promieniami słońca, stołeczne miasto francuzkie Paryż z wielkiem upodobaniem odwidzają. W takimto pięknym dniu miesiąca maja pewien porządnie ubrany mężczyzna, trzymając pod pachą dużą sakwę z sinego papiéru, przemokły do nitki, jak gdyby go świeżo z Sekwany wyciągnięto, bieżał za omnibusem w ulicy *St. Honoré* i wołał na konduktora, aby go przyjął pod zbawienne poddasze; a że jeszcze w powozie próżne miejsce było, więc zatrzymano się. »*Plac à droite!*« zawołał konduktor. — »*Pardon messieurs, pardon mesdames;*« rzekł mężczyzna z papiérową sakwą, wsiadając do powozu; »*c'est qu'il fait un temps!*« — »Ale uważaj też wćpan cokolwiek,« zawoła pewna dama w jedwabnej sukni cielistego koloru, »wszak wćpan nadeptałeś mi suknię.« — »*Pardon madame;* to się nie stało umyślnie; przeklęte powietrze!« — »Miej też się wćpan na baczności,« odezwał się znowu pewien otyły podróżny z lewéj ławki, »z wćpana ciecze jak z rynny, zmoczysz mi na nic surdut.« — »*Pardon monsieur;* przeklęta słota, leje jak z konwi!« — »A, ba, leje; mosanie, kto na skróś przesiąkł wodą jak gąbka, ten nie wsiada do publicznego powozu, aby tę gąbkę wydusił.« — »Bardzo mądrze i słusznie, mój panie, powiedziano, proszę tysiąckrotnie o przebaczenie, ale to właśnie dzieje się z téj przyczyny, że tak brzydkie powietrze! gdyby na dworze było pięknie, byłbym ani panu, ani szanownemu towarzystwu najmniejszéj nie uczynił przykrości; ja nie wsiadam nigdy do omnibusa,

jeżeli jest pogoda. Panie konduktorze, bądź też łaskaw powiedzieć tym panom i paniom, aby się ku sobie więcej w kupkę wzięli i mnie cokolwiek miejsca między sobą wypośrednili, bo ja nie siedzę, ale stoję zgarbiony jak znak zapytania.« — »*Allons messieurs et mesdames du coté droit!* jest jeszcze jedno miejsce.« Na ten najwyższy rozkaz konduktora zrobiła się luka, otworzyło się na prawéj ławce próżne miejsce, na którém usiadł nowy podróżny, a że było ciasno, a on napęcniały, więc woda ciekła z niego ciurkiem na wszystkie strony. — »Gdybyś wćpan był przynajmniéj tak dobry i postawił pod ławkę swoję ogromną sakwę papierową,« rzekła dama w jedwabnéj sukni cielistego koloru; »wtedy zabrałbyś cokolwiek mniej miejsca.« — »*C'est trop just, madame;* spełnię rozkaz natychmiast, proszę tysiąckrotnie o przebaczenie; przeklęte powietrze! a do tego ósmego maja!« Całe towarzystwo zamilkło i jechało daléj; większa część mężczyzn usnęła i sapała spokojnie; same tylko damy chcąc niechcąc poruszały czegoś nogami; gdy oto jeden z podróżnych, ocknąwszy się, przerwał ciszę powszechną: »*Pardon madame,* lecz zdaje się mi, jak gdybyś wćpani u spodu miała coś ruchliwego na swojéj sukni, a jeszcze coś takiego co lézie, i na mój honor, jeżeli się nie mylę, jestto ślimak!« — »Slimak! dla miłości Boga! a to jest rzecz okropna!« ozwie się chór cały. »Slimak!« — »*Voyons!*« — »*Voyons en peu.*« — »*Voyons voir.*« — »Na poczciwość, ślimak!« — »A jeszcze jaki slimak!« — »*Pardon monsieur,* popatrz też wćpan tu, wyżéj kołniérza po prawej stronie, na drodze do prawego ucha, czy nie jestto także ślimak?« — »Do kata! tak jest w saméj rzeczy; to on, to ślimak!« odrzekł zapytany, trzymając ślizkiego rogacza w ręku. »Ale zkądże tu się u licha biorą ślimaki?« Naco pewien podeszły pan rzecze: »Zkąd się biorą? One wyłażą z swych skorupek; historyja naturalna uczy nas, iż wilcy podczas głodu wychodzą z lasu, a ślimaki podczas dészczu wyłażą z swych skorupek.« — »W lesie, pozwalam, ale nie w omnibusie. Ciszéj, st! nie ruszaj się wćpan! Oto jeszcze jeden na dészczochronie tego pana!« — »A tam, na gamerce u tamtego pana!« — »Ale to już za nadto! Zapewne jest ktoś w powozie, który przy sobie ma ślimaki. Należy zrobić przegląd, trzeba zrewidować wszystkich.« — »Ja nié mam niezawodnie.« — »*Ni moi.*« — »*Ni moi.*« — Cztérnaście *ni moi* odezwało się jednym głosem; jeden tylko podróżny milczał, ten sam, który z papiérową sakwą na ostatku przybył, i który w całym ciągu téj sceny nieustannie chustką wodę z swoich sukni wymoczywał, a potém ją pod ławką wykręcał. To częste poruszanie ręki wpada nareszcie w oczy, obudza podejrzenie i przypomina wszystkim ogromną papiérową sakwę. Podnoszą więc draperyją ławki do góry i z powszechnem zadziwieniem znajdują dużą, przemokłą, papiérową sakwę, pełną dziur, z których miryjada ślimaków wyłazi, i w rozmaitych kierunkach w podroż się wybiera. Już kilkaset wydobyło się z więzienia i na tłómaczkami na grzbiecie używało wolności! »*Monsieur, c'est une infamie!*« — »*Monsieur, c'est une atrocité!*« odzywają się wraz wszyscy podróżni. »Podobne zachowanie się należy prawnie, policyjnie, surowo ukarać.« — »*Eh messieurs et mesdame,*« odrzekła ofiara tych gwałtownych apostrofów, »nie róbcie dla fraszki wielkiego hałasu, jeżeli prosić wolno! Tym hałasem przestraszacie te biedne zwierzątka. Wszakżeto nie są krwiożercze tygrysy, tylko ślimaki, które nikogo nie zjedzą; i owszem, one same są bardzo dobre do jedzenia. Ja przynajmniéj bardzo je jeść lubię; i właśnie idę z targu, na którym ich kilkaset sztuk kupiłem. Jestżeto tak wielkiem przestępstwem? Zamiast oburzenia się na mnie, powinnibyście raczéj z miłości bliźniego pomódz mi łowić moich zbiegów.« To rzekłszy nasz miłośnik ślimaków, bierze się wraz do roboty i zbiéra zbiegłą rogaciznę po całym omnibusie. Przemokła sakwa na nic mu już nie przydatna, jego kapelusz zastępuje jéj miejsce; podróżny chwyta je po jednemu, po dwa, bierze za skorupy, za rogi, i ciskając je w głąb nowego więzienia, poluje na nie bez ustanku, łowi na górze i na dole, ściga za niemi po laskach, dészczochronach, sukniach i koszach, koło nóg i pomiędzy; wyciąga i w lewo i w prawo ramiona, chwyta, łapie, więzi; kapelusz się przepełnia, ale ile razy nowych zbiegów dostawi, wszczyna się walka na krawędzi kapelusza, staje się nowa dezercyja! Kłopot, nié ma ratunku! Damy tego podróżującego towarzystwa, które w piérwszym gniewie i przestrachu około nóg szczelnie swoje suknie pozatulały, mężczyźni, którzy zakasawszy spodnie, powkładali je w boty, już się dłużéj w gniewie utrzymać nie mogą, pusty śmiech grzmi w omnibusie. Dama w jedwabnéj sukni koloru cielistego, zachodząc się ze śmiéchu i nie mogąc przemówić słowa, skinęła ręką na konduktora, dając mu znak, iż sobie życzy wysiąść z powozu. Konduktor sam zrywając ze śmiéchu boki, chcąc jéj usłużyć, pociągnął tak silnie za sznur przymocowany do ramienia woźnicy, iż tenże omal z konia nie zleciał, tem rozgniewany, szarpnął w tył tak mocno konie, iż dama, stojąca właśnie pośrodku powozu, w znak upadłszy, kapelusz ze ślimakami swoją tuszą na miękki placek zdusiła!... O scenie, która po tym upadku i przypadku między panem zgniecionego kapelusza, a damą w jedwabnéj sukni cielistego koloru nastąpiła, nie nadmienimy ani słowa; są rzeczy i zdarzenia, których opisać niepodobna. To tylko dodamy, że tak on, jak i ona, przy wysiadaniu wymienili swój stan i nazwisko, wzywając cały omnibus za świadka swoich obopólnych zażaleń. I ztąd dowiedziało się towarzystwo, iż pan ślimaków był perukarzem, a dama w jedwabnéj sukni cielistego, a teraz zblakowanego koloru, szwaczką. Nie dowiedzieliśmy się dotąd, która strona proces wygrała.

Boxery. Boxowanie w Anglii wyszło już bardzo z mody, i jeszcze tylko gdzie niegdzie z powodu wielkich zakładów wykonywane bywa z większą lub mniejszą dzikością. Najnowszy przypadek, wydarzony w téj mierze pod Manszestrem, okazuje nadzwyczajną zdziczałość obyczajów. Boxery w otwartém polu, otoczeni wyuzdanem pospólstwem, a jeszcze wyuzdańszemi ludźmi z wyższego stanu, wystąpili nago, a na nogach ku palcom mieli pewien gatunek żelaznych trzewików, zaopatrzonych zewnątrz kończatemi goździami, aby jeden drugiemu, gdyby ręce już nie zdołały, jeszcze uzbrojonemi w ten sposób nogami mógł dojechać końca. Chodziło o nagrodę 25 funt. szt. Jeden z boxerów umrze niezawodnie. Zwycięzcę odprowadzono do domu w tryumfie. Obadwaj byli nielitościwie pokaleczeni; nie mieli na sobie żadnéj odzieży, a to dla tego: »aby po skończonéj walce przyzwoicie, jak zacni ludzie, a nie w poszarpanych sukniach do miasta powrócić mogli.«

Spożycie napojów spirytusowych w Anglii. Obliczono, iż ilość napojów spirytusowych, które corocznie w Anglii i Irlandyi spożyte bywają, byłaby dostateczną do utworzenia rzéki, mającéj 60 stóp szérokości, 3 stopy głębokości, a 6 mil długości. »Nie byłoby od rzeczy,« dodaje *Morning chronicle* »wykazać przytem wszystkie ofiary, które nowoczesny Styx ten pochłania: ludzi, których ta rzéka zaprowadza do domu szalonych, do więzienia Botany-Bay i na galery; dzieci, które mrą z głodu dla tego, że ich rodzice są opojami, a nareszcie kobiety, które z powodu pijaństwa swoich mężów całe nocy we łzach i smutku przepędzają!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*